

Nominacja do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla w roku 2011;
III miejsce w Plebiscycie Czytelników Nagrody Nautilus w roku 2011

STEFAN

DARDA

Czarny Wygon

POWIEŚĆ GROZY



SŁONECZNA DOLINA

VIDEOGRAF

Czarny Wygon

SŁONECZNA DOLINA

STEFAN

DARDA

Czarny Wygon

SŁONECZNA DOLINA

VIDEOGRAF

Redakcja
Jadwiga Kwiecień

Projekt okładki
Marek J. Piwko {mjp}

Ilustracja na okładce
Dariusz Kocurek

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerek

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych
jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I w tej edycji, Chorzów 2012

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35
fax 32-348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Copyright by Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2010
© Copyright by Stefan Darda

ISBN 978-83-7835-027-9

*Nie narzekaj, że wszystko przemija,
bo gdyby czas się zatrzymał,
to wtedy dopiero miałbyś prawdziwy problem.*

Rafał Gielmuda

Przedmowa

Mam wrażenie, że każdy człowiek, którego spotykam podczas rejsu przez bardziej lub mniej wzburzone wody losu, odciska na mnie jakieś piętno.

Czasem pozostaje jedynie przelotna refleksja, trudne do zdefiniowania wrażenie, zadziwienie lub uśmiech. Czasem czyjś wizerunek pozostaje na dłużej w pamięci, nie pozwala mijającym dniom zbyt łatwo zatrzeć obrazu i odczuć, które pozostały gdzieś głębiej.

Są też osoby, których nigdy nie zapomnę i które na zawsze przewartościowały moje życie. Chciałbym, żeby ta książka była hołdem dla jednego z takich ludzi. Z pewnością wiele bym stracił i byłbym kimś zupełnie innym, gdybym wiele lat temu nie spotkał Staszka — męża mojej kochanej Siostry, Urszuli, który potrafił prosto, bezinteresownie i z ogromną lekkością pokazać mi świat taki, jaki — w co głęboko wierzę — naprawdę jest. To świat pełen wyzwań, piękna i wzruszeń.

Tak się składa (a przynajmniej ja to tak pamiętam), że wszystko zaczęło się w okolicach Guciowa. Ta była pierwsza taka nasza wyprawa. Byłem wtedy kilkunastoletnim chłopakiem, który przymierzał się do kończenia podstawówki i, chyba jak wielu moich rówieśników, niezwykle potrzebował wskazania drogi, którą mógłby kiedyś podążać.

Miałem cholerne szczęście.

Potem były nasze wspólne wyprawy w Tatry, Gorce, Beskidy, w okolice Krakowa i do podlubyckich bunkrów. Chyba właśnie wtedy tak naprawdę przejrzałem na oczy. Później już jeździłem sam lub z przyjaciółmi, zawsze jednak pamiętając, kto tę drogę przede mną otworzył. W czasie studiów grałem w „Orkiestrze Świętego Mikołaja” i jednym z najfantastyczniejszych dla mnie koncertów był ten w krakowskiej Rotundzie, na którym pojawili się Ula, Staszek i ich dwaj Synowie.

A potem? Minęło mało czasu, zdecydowanie zbyt mało, kiedy w piątkę, w Wielki Piątek dwa tysiące czwartego roku, pojechaliśmy na wycieczkę po Roztoczu. Odwiedziliśmy Krasnobród, Guciów, Zwierzyniec...

I to była moja ostatnia wyprawa ze Staszkiem.

Drogi Przyjacielu!

Gdziekolwiek jesteś, wiem, że czekasz tam na mnie. Mam nadzieję, że przeczytasz książkę, którą dedykuję Twojej Pamięci.

Nie pamiętam, czy wtedy, pierwszym razem, szliśmy przez Słoneczną Dolinę... Ale wyobrażam sobie, że tak właśnie było.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję wszystkim tym, którzy pomogli mi przy redakcji tej książki. Dziękuję za czas, cierpliwość, wiarę i zaufanie.

Dziękuję też Tobie, Jacku, za to, że całkiem niedawno, być może po raz drugi, odkryłeś przede mną uroki Słonecznej Doliny.

(Jeśli chodzi o czereśnię, to — obiecuję — więcej o niej będzie w drugiej części.)

Dziękuję Panu Stanisławowi Jachymkowi za opowieści i mapę, a także za zsiadłe mleko, które po wizycie w Słonecznej było pyszniejsze nawet od piwa.

I Tobie, Drogi Czytelniku, składam ogromne podziękowania. Nie wiem, czy byłeś już ze mną w Wyrębach, czy też może będzie to nasza pierwsza wspólna podróż, ale jestem Ci wdzięczny za to, że zdecydowałeś się wybrać ze mną na bardziej lub mniej znane Ci Roztocze.

Jeśli już byłeś w okolicach Zwierzyńca, to z pewnością nie muszę Cię zachęcać do ponownej wizyty. A jeśli nie? Pora pakować walizy.

Być może kiedyś się tam spotkamy...

S.D.

Staszкови

Prolog

Gdyby tylko mógł cofnąć czas, Adam zrobiłby to bez najmniejszego wahania. Z każdym dniem rosło w nim przeświadczenie, że to, co się stało, jest w dużej mierze jego winą. Nie okazał się wystarczająco stanowczy i nie rozmawiał wtedy z Witkiem tak, jak należy. A przecież nigdy wcześniej nie miał tak wyrazistego przeczucia. Po raz pierwszy dotknęło go po przebudzeniu ze snu, w którym główną rolę odegrała Magda. Później, zaraz po wyjeździe Witol-da Uchmanna, niepokój przerodził się w strach, na który nie było lekarstwa, w paniczną wręcz obawę, drążącą Adama od środka jak złośliwa choroba, niepozwalająca myśleć o czymkolwiek innym.

Z nadzieją i niecierpliwością oczekiwał na najmniejszą choćby wiadomość od przyjaciela, lecz na próżno; dokładnie od trzech tygodni — od wtorku, ósmego marca — Witek nie odezwał się ani razu. A przecież miał pojechać tam tylko najwyżej na cztery dni.

Ostatnia nadzieja związana była ze Świętami Wielkanocnymi, które skończyły się wczoraj. Do tej pory Nawrot ludził się jeszcze. Teraz, we wtorek, dwudziestego dziewią-

tego marca, siedział samotnie w biurze redakcji, wpatrując się w puste miejsce naprzeciw swojego biurka.

Nie tylko z powodu Uchmanna była to dla niego smutna Wielkanoc. Wiele godzin spędził w szpitalu, czuwając przy łóżku matki, która nagle poczuła się bardzo źle. Lekarze nie zdążyli postawić jeszcze diagnozy, ale sugestie były dość jednoznaczne — podejrzewano nowotwór w zaawansowanym stadium. Do tego doszło nagle pogorszenie zdrowia papieża, co dla Adama, jako człowieka bardzo mocno wierzącego, było wydarzeniem nie bez znaczenia. Wspólnie z matką oglądali na sali szpitalnej przejmujące błogosławieństwo urbi et orbi — błogosławieństwo, podczas którego Jan Paweł II, pomimo starań, nie był w stanie wypowiedzieć nawet jednego słowa. Oddychał tylko z trudem, po czym bezsilnie uderzył w poręcz fotela, a potem jedynie błogosławił w ciszy wiernym zgromadzonym na Placu świętego Piotra.

W Poniedziałek Wielkanocny, kiedy Adam wracał od matki, wstąpił jeszcze na cmentarz, aby pomodlić się przy grobie Magdy. Nie przyniosło mu to ukojenia, ale pozwoliło podejść do tych trudnych wydarzeń z większym dystansem. Mimo wszystko jej śmierć była o wiele cięższym doświadczeniem.

Z rozmyślań wyrwały go podniesione głosy dobiegające z korytarza. Jeden z nich należał do Kamila, drugiego zaś nie potrafił rozpoznać.

— Nie może pan wejść dalej — tłumaczył Sadoń.
— To jest zamknięta część redakcji. Proszę dać, co ma pan do przekazania...

— Mogę to oddać tylko do rąk własnych pana Nawrota! Nie ruszę się stąd, dopóki tego nie zrobię. Będę czekał, aż...

Adam wyszedł z pokoju.

— O co chodzi? — zapytał.

— To jest pan Adam Nawrot — mruknął do nieznajomego Kamil. — Proszę zostawić przesылkę.

Mniej więcej czterdziestoletni, szczupły, lekko szpakowaty mężczyzna patrzył podejrzliwie.

— Na pewno? Pan Adam? — zapytał. — Mogę zobaczyć dowód?

— Panie, do cholery! — Sadoniowi puściły nerwy. — Czyś pan oszalał? Zaraz wzywam policję...

— Spokojnie, Kamil. Zaraz pokażę panu dowód, tylko można wiedzieć o co chodzi?

— Mam dla pana przesyłkę. Oczywiście, jeśli nazywa się pan Nawrot. To jest bardzo ważna sprawa i nie dam paczki nikomu innemu.

— Proszę poczekać sekundę.

Po chwili Adam wrócił z dowodem. Mężczyzna wziął go do ręki i uważnie przyglądał się to redaktorowi, to twarzy na zdjęciu. Wreszcie, oddając dokument, rzekł:

— W porządku. Proszę, to dla pana. Na pewno będzie pan wiedział, co z tym zrobić. Tylko błagam, niech się pan pośpieszy...

— Kim pan jest? Od kogo jest ta przesyłka?

— Nieważne, kim jestem. A co do paczki, to dowie się pan wszystkiego po jej otwarciu.

Mężczyzna odwrócił się i już miał wyjść, gdy nagle stanął w drzwiach. Popatrzył na Nawrota.

— Panie Adamie... — powiedział cicho. — Z całego serca pana przepraszam... Jak mi Bóg miły, nie chciałem tego i mam nadzieję, że kiedyś będzie pan w stanie mi wybaczyć.

Zniknął równie nagle, jak się pojawił. Stali z Kamilem jeszcze chwilę w korytarzu, Adam wzruszył tylko ramionami i odszedł w kierunku swojego pokoju z przesyłką pod pachą. Sadoń podążył za nim, lecz Nawrot zatrzymał się w progu, mówiąc:

— To do mnie paczka, szefie. Najpierw sam ją obejrzę, a jak będzie trzeba, to dam znać, co w niej było — powiedział i zatrasnął drzwi przed nosem kierownikowi.

Niecierpliwym ruchem rozerwał szary papier i wydobył starannie zbindowany plik zapisanych obustronnie kartek formatu A-4. Nie były ponumerowane, ale wprawne dziennikarskie oczy Adama oszacowały, że jest ich około dwustu. Nie miał wątpliwości, że autorem zapisków jest Witold Uchmann.

Pod przeźroczystą folią spoczywała niewielka karteczka, również zapisana ręką Witka.

Cześć, Adam,

mam nadzieję, że wybaczysz mi moje milczenie, ale z pewnych względów nie mogłem się do Ciebie odezwać.

Oddaję w Twoje ręce moje zapiski z Guciowa i Krasnobrodu. Być może na początku będziesz zdziwiony ich formą, jednak z czasem dowiesz się, dlaczego tak wyglądają. Część z nich jest mojego autorstwa, a część przepisałem z powierzonego mi brulionu. Nie wiem, czy to możliwe, ale chciałbym, żeby trafiły one do szerszego grona odbiorców. Postaraj się o to, proszę. Być może od tego zależy los wielu ludzi.

Wiem, że pod koniec poprzedniego tygodnia wypytywała o mnie w okolicy policja (dały mi o tym znać zaprzyjaźnione osoby). Pewnie to właśnie Ty poinformowałeś, że zaginąłem. Przepraszam, ale nie mogłem się ujawnić.

Dziś jest Wielki Piątek, 25 marca, i jestem teraz w Krasnobrodzie. Wybieram się w miejsce, z którego być może nie będę mógł wrócić, ale — kto wie? — może wszystko się uda i za jakiś czas znów się spotkamy (mam wielką nadzieję, że tak właśnie się stanie).

Jeśli przyjdę do pracy we wtorek po Wielkanocy, ta przesyłka nigdy do Ciebie nie dotrze.

Zakładam jednak, że czytasz te słowa, a wydarzenia potoczyły się tak, jak planowałem.

Tymczasem jestem zmuszony się z Tobą pożegnać.

Do zobaczenia, Przyjacielu.

Witek

Rzeczywiście, Adam poinformował policję o zaginięciu Uchmanna. Wiedział, dokąd się wybiera i zapewne tam właśnie go szukano.

Nawrot nie miał pojęcia, dlaczego Witek nie chciał dać się odnaleźć, jednak miał pewność, że wszystko wyjaśni się, gdy przeczyta dostarczone przez tajemniczego mężczyznę zapiski. Nie mógł czekać. Zwolnił się tego dnia z pracy, ponieważ chciał się zapoznać z materiałem jak najszybciej, w ciszy własnego mieszkania.

Kiedy przebiegał się przez śródmiejskie korki, nie mógł się doczekać chwili, gdy w spokoju zacznie czytać notatki. Niemniej jednak najważniejsze było to, że jego przyjacielowi — przynajmniej do ostatniego piątku — nie stało się nic złego.

Po raz pierwszy tej wiosny miał nadzieję, że może nie wszystko będzie tak źle, jak mogło się wydawać. Ciepłe, już prawie kwietniowe słońce rozgrzewało wnętrze auta, z głośników płynęła kojąca muzyka Dire Straits.

„Wszystko będzie dobrze” — powtarzał w myślach. — „Na pewno wszystko będzie dobrze...”.

Wszedł do domu, zdjął kurtkę i natychmiast zasiadł przy stole, na którym wcześniej położył dostarczone mu zapiski.

Rozdział pierwszy

1.

Kilka gęsto zadrukowanych kartek formatu A-4 z głośnym plaśnięciem spadło na moje biurko. Dwie z nich ześlizgnęły się po gładkim blacie i sfrunęły na podłogę. Pochyliłem się i powolnym ruchem wziąłem najpierw jedną, a potem kolejną, której róg opierał się na wypucowanym czarnym lakierku. Sadoń nawet nie cofnął nogi.

— Wiesz, Witold, ile to jest warte? — zapytał, gdy już się wyprostowałem i spojrzałem mu w oczy. — Siedziałeś nad tym artykułem przez trzy dni i co? Przecież to się nadaje nawet do... — Zawahał się. — To się do niczego nie nadaje, psiamać!

Patrzyłem na tego szczyła, starając się zachować stoicki spokój. Czułem, jak krew szumi w uszach i w jednej chwili rozboleła mnie głowa. Miałem ochotę złapać za tę jego cienutką szyjkę i wyprowadzić z pokoju. A później zasadzić mu jeszcze sążnistego kopa. Jedną nogę miałem przecież jeszcze całkiem sprawną.

Był jednak moim szefem. Zacząłem z pedantyczną dokładnością składać kartki. Prawie udało mi się opanować drżenie rąk.

— Halo, jestem tutaj! I co ty na to?

— Na to, że tu jesteś? — zapytałem.

— Nie rzuć głupa. Chodzi mi o artykuł. Co teraz? Nie mamy nic na to miejsce.

Znów na niego spojrzałem i to nie był najlepszy pomysł, bo zrobiło mi się niedobrze. Przypatrywał mi się z przekrzywioną głową, nerwowo mrugając świńskimi oczkami. Rzadki kosmyk blond włosów komicznie opadł mu na czoło. Chciałem, żeby już sobie poszedł.

— Poprawię — rzekłem z udawanym spokojem. — Tylko powiedz, Kamil, co ci się nie podoba.

Chyba nie tego się spodziewał.

— Przeczytaj to jeszcze raz — zaczął niepewnie — a sam zobaczysz, co jest nie tak. Sporo różnych błędów, literówki, styl...

— Nie ma sprawy. To wszystko?

— Zapewniam cię, że musisz ostro wziąć się do roboty. I zrób to dzisiaj, bo kończymy składać numer.

Obiecałem, że się wyrobię i chwilę potem już go nie było.

Spojrzałem w kierunku przeciwnego biurka. W czasie całej tej krótkiej awantury Adam udawał, że ma coś ogromnie pilnego do zrobienia i klepał w klawisze jak opętany. Teraz, gdy poczuł na sobie mój wzrok, przestał i siedział nieruchomo. Po kilku sekundach podniósł oczy.

— Ten gnój mógłby być twoim synem — odezwał się. — Może powinienś...

Przerwał, gdy usłyszał odgłos rozdieranego papieru. Starałem się przedrzeć trzymane w rękach kartki dokładnie przez środek. Całkiem nieźle mi to wyszło.

— ...może powinienś pogadać z prezesem? — skończył.

— Wiesz przecież, że to nic nie da — powiedziałem, wstając. — Oni grają w jednej drużynie, mają mnie za esbeka i najchętniej by mnie stąd wywalili — ciągnąłem, kuśtykając w kierunku kosza na śmieci. — Nie dam im tej satysfakcji.

Przedarty plik kartek spoczął na dnie prawie pustego pojemnika.

— Co zamierzasz? — Adam nie spuszczał mnie z oczu, gdy wracałem na swoje miejsce.

— Spieprzam stąd, stary. To już nie na moje nerwy.

Tak naprawdę Adam Nawrot był jedynym człowiekiem w redakcji, z którym się dogadywałem. Właściwie, to można nawet powiedzieć, że był prawie moim przyjacielem. Spotykaliśmy się co kilka dni wieczorem przy piwie i najczęściej gadaliśmy do późna w nocy. Ja — zdeklarowany stary kawaler zaraz po pięćdziesiątce i on — czterdziestokilkuletni, bezdzietny wdowiec. Pracowaliśmy ze sobą od parunastu lat, ale dopiero niedawno, po tym, gdy wczesną wiosną dwa tysiące pierwszego roku, czyli niemal dokładnie przed czterema laty, jego żona zginęła w wypadku samochodowym, bardziej się do siebie zbliżyliśmy. Potrzebował kogoś do wspólnego spędzania wieczorów, żeby do końca nie zwariować, a i mnie przyjemnie było zobaczyć się z kimś od czasu do czasu, chociaż na początku nie były to łatwe spotkania. Bardzo ją kochał.

Znał wiele moich tajemnic, ale były rzeczy, o których mu nie powiedziałem. Na przykład o tym, że na początku lat dziewięćdziesiątych, trochę przez przypadek, kupiłem pod Warszawą dwa hektary pola. Nigdy nie miałem smykałki do interesów, ale akurat wtedy znajomy rolnik potrzebował pilnie gotówki, więc postanowiłem zaryzykować i ulokować trochę grosza w ziemi. Od tamtego czasu miasto sukcesywnie powiększało swoje terytorium, aż wreszcie dotarło niemal do moich gruntów. Efekt przypadkowej lokaty przerósł moje najśmielsze oczekiwania, kiedy jakiś czas temu jedna z zachodnich firm postanowiła między innymi na moim polu wybudować olbrzymi kompleks handlowy.

Nawrot patrzył na mnie wyczekująco, gdy sięgałem do szuflady, w której od kilku miesięcy tkwił jeden tylko dokument. Teraz miarka się przebrała i stwierdziłem, że to jest

właśnie ta chwila, w której wniosek o rozwiązanie stosunku pracy powinien znaleźć się na biurku prezesa.

— Wypisuję się z tego interesu — powiedziałem i podałem Adamowi papier. — Wystarczy tylko wpisać dzisiejszą datę i gotowe.

— To już przesądzone? — spytał, gdy przeczytał nagłówek. — Myślisz, że nie będziesz miał problemów ze znalezieniem nowej roboty? Wiesz, w twoim wieku...

— Dziękuję ci bardzo — uśmiechnąłem się. — Tak naprawdę, to nie wiem, czy jeszcze będę czegoś szukał. Mam trochę oszczędności, może uda mi się na nich dojechać do przystani zbudowanej z czterech desek.

— Z szczęściu — poprawił mnie odruchowo, zajęty czytaniem pisma. — Wiesz, to może jeszcze trochę potrwać... — teraz on się uśmiechnął. — Tylko mnie nie łap za słowa.

Oddając mi papier, powiedział:

— Sugerowałbym, żebyś to jeszcze przemyślał. Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że ta robota trzyma cię w pionie...

Wiedziałem, co ma na myśli. Oprócz Adama nikt w pracy nie wiedział o moich problemach z alkoholem, które najpierw sprawiły, że straciłem prawo jazdy, a potem, gdy zataczyłem się pod nadjeżdżający samochód, doprowadziły do tego, że stałem się kuśtykającym kaleką. Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem nie ma racji. Wreszcie schowałem wniosek do szuflady i powiedziałem:

— W porządku. Prześpię się z tym jeszcze i jutro podejmę decyzję. Wskoczymy dziś wieczorem na piwo?

— Jasne. O dwudziestej, tam, gdzie zawsze. Może być? Kiwnąłem głową.

— Teraz muszę się zbierać, bo mam sprawę na mieście — mówił dalej. — Ale ty lepiej popraw ten artykuł. Tak na wszelki wypadek.

— Pomyślę.

Naprawdę to nie miałem takiego zamiaru. Planowałem zostać nieco dłużej w pracy, żeby popakować swoje szpar-

gały i przekopiować co ważniejsze dokumenty z firmowego komputera.

Po wyjściu Adama zabrałem się do roboty. Godzinę później byłem przygotowany do wyprowadzki. Właśnie miałem zamiar wyłączyć komputer, gdy na firmowej skrzynce mailowej pojawiła się nowa wiadomość.

Przeczytałem ją kilkakrotnie, zaplotłem dłonie za głowę i wygodnie rozparłem się w fotelu. Siedziałem tak dłuższą chwilę, po czym wstałem i poczłapałem do kubła na śmieci. Właśnie wyjmowałem z niego wrzucony tam uprzednio artykuł, gdy drzwi do pokoju się uchyliły i zobaczyłem w nich głowę Sadonia.

— A to ci dopiero — roześmiał się. — Jak już skończysz szukać skarbów, to podrzuć mi ten materiał. Tracę powoli cierpliwość.

Naniesienie kosmetycznych poprawek zajęło mi nie więcej niż pół godziny. Artykuł był prawie niezmieniony, ale tym razem mój szef wyglądał na zadowolonego. Pewnie wcześniej nawet nie czytał tekstu. Od opublikowania listy Wildsteina zdążyłem się już przyzwyczaić i w ogóle mnie to nie obchodziło. Tym bardziej że miałem na głowie ważniejszą sprawę.

Raz jeszcze przeczytałem otrzymany mail, po czym wydrukowałem jego treść, schowałem kartkę do teczki i wyłączyłem komputer.

2.

Osiedlowy bar „Przystań” był od dawna miejscem moich spotkań z Adamem. Znaleźliśmy go przypadkiem, kiedy pewnego razu knajpę, w której siedzieliśmy, już mieli zamykać, a my nie chcieliśmy jeszcze zbierać się do domów. Miejsce polecił nam taksówkarz czekający na postoju i od tej pory zawsze właśnie w tym lokalu się umawialiśmy.

Z pewnością knajpki nie można było nazwać wykwintną. Przeważnie było w niej aż czarno od papierosowego dymu i zapachu smażonych frytek. W tle zwykle słychać było marną muzykę i gwar rozentuzjasmowanych stałych bywalców, jednak po kilku wizytach czuliśmy się tu jak u siebie. Mieliśmy wielu nowych znajomych, którzy — podobnie jak my — często zawijali do „Przystani”. Ten klimat odpowiadał nam jednak zdecydowanie bardziej niż nadęta atmosfera restauracji położonych w centrum Warszawy. Po jakimś czasie właścicielka, pani Basia, sprezentowała nam nawet specjalne kufle, w których od tej pory piliśmy tylko my. Od wtedy nawet nie pomyśleliśmy, żeby szukać innego miejsca.

Było już dobrze po dwudziestej drugiej. Dotąd nasze rozmowy krążyły wokół dość neutralnych tematów, jednak wreszcie Adam najwyraźniej zebrał się w sobie i zapytał:

— No i co postanowiłeś? Ciągłe zamierzasz zrezygnować?

Nie odpowiedziałem od razu. Zamiast tego sięgnąłem do kieszeni kurtki, do której wcześniej włożyłem kartkę z wydrukowaną wiadomością.

— Tak naprawdę, to byłem już zdecydowany na sto procent, jednak dziś dostałem pewien mail. Chyba mam ochotę tam pojechać i trochę się rozejrzeć.

Adam przebiegł wzrokiem tekst.

— No tak, to zdecydowanie twoja działka — powiedział.

— Pewnie jak zwykle to jakieś bzdury, ale kilka dni z dala od Sadonia dobrze mi zrobi. A poza tym, wiesz, że redakcja chętnie umieszcza takie historie, więc nie powinno być większych problemów z uzyskaniem zgody na wyjazd. Tym bardziej że nigdy nie byłem w tych okolicach. No i będę miał trochę czasu na zastanowienie, co dalej z moją pracą.

Aktualnie byłem specjalistą naszego tygodnika od zdarzeń paranormalnych. Gdy tylko pojawiał się jakiś temat

związany z nawiedzonymi domami, zjawiskami „nie z tej ziemi” czy ludźmi opętanymi rzekomo przez diabła, zawsze przydzielano go właśnie mnie. Miałem smykałkę do opisywania tego typu rzeczy, a w dodatku — co okazywało się ważne dla szefostwa — były to sprawy bardzo dalekie od polityki.

— To dobrze — odezwał się Adam. — Mam nadzieję, że zmienisz zdanie i jeszcze trochę popracujemy razem. Aż się boję, kogo mogliby ze mną posadzić w pokoju. A ten mail wygląda całkiem ciekawie. Na pewno zrobisz z tego świetny materiał. Facet, który widział coś, czego nie zobaczył nikt poza nim... No, no... Sprzedaż na pewno od razu nam skoczy. — Mrugnął do mnie okiem i trącił swoim kuflem o mój, stojący na stoliku, po czym upił kilka solidnych łyków. Najwyraźniej trochę mu ulżyło.

— A wiesz w ogóle, gdzie to jest? — zapytał po chwili.

— Tak. Na Roztoczu, niedaleko Zwierzyńca.

— Dawne Zamojskie?

— Zgadza się. Byłeś tam?

— Nie, ale o Zwierzyńcu słyszałem. Zdaje się, że robią tam niezłe piwo.

— Ty to tylko o jednym — powiedziałem i podniosłem kufel do ust.

Tego wieczora nie rozmawialiśmy o moim wyjeździe. Nie spodziewanie wrócił jednak temat Magdy; Adam znów zaczął ją wspominać. Ostatnio zdarzało się to bardzo rzadko, jednak tym razem wspomnienia wyraźnie dały znać o sobie. W pewnym momencie Nawrot miał nawet łzy w oczach. I wtedy właśnie, zupełnie niespodziewanie, chyba głównie po to, żeby zmienić temat, spytał:

— Witek, nigdy o tym nie gadaliśmy, a trochę mnie to dręczy. Jak to było z tą twoją współpracą ze Służbą Bezpieczeństwa?

Na początku naszych spotkań byłem pewien, że będzie chciał znać prawdę. Kiedy jednak minęło trochę czasu, uzna-

łem, że nie jest to dla niego ważne. Tym bardziej byłem zaskoczony, że zapytał. Gdy przez dłuższą chwilę nie odpowiadałem, powiedział:

— Nie ma sprawy. Jak nie chcesz, to nie mów. Wycofuję pytanie i przepraszam. Nie powinienem...

— Daj spokój — przerwałem. — Wezmę tylko dla nas jeszcze po jednym.

W czasie, gdy pani Basia napełniała kufle, miałem chwilę na zastanowienie. Tak naprawdę cieszyłem się, że rozpoczął rozmowę na ten temat. W redakcji traktowany byłem jak najgorsza kanalia, odwrócili się ode mnie nawet ludzie, których do momentu publikacji listy miałem za przyjaciół. Stałem się trędowaty. Jeśli komuś miałem powiedzieć, jak było, to tylko Adamowi, który jako jedyny nie odsunął się wtedy ode mnie.

Gdy podszedłem do stolika i postawiłem na nim pełne kufle, widziałem, że mój towarzysz kręci się niespokojnie.

— Wiesz, chyba niepotrzebnie cię o to zapytałem. Może czasem lepiej nie wiedzieć...

— To było gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych — zacząłem, ignorując to, co powiedział. — Byłem wtedy na studiach. Moi rodzice przyjaźnili się z pewnym lekarzem. Bardzo nam pomagał, głównie dzięki niemu moja matka wyszła z raka, chociaż niewiele dawało jej szansę. Pewnego dnia, gdy ojciec był w pracy, a matka w sanatorium, przyszedł do naszego mieszkania. Powiedział, że chce rozmawiać właśnie ze mną. Zdziwiłem się, bo do tamtego dnia zamieniliśmy ze sobą może kilka zdań, nie licząc sytuacji, gdy byłem chory i przychodził do mnie z wizytą domową.

Adam nie patrzył na mnie. Wpatrywał się w przeciwną ścianę.

— Powiedział, że ma do mnie wielką prośbę — ciągnąłem. — Wyznał, że jakiś czas temu wpłatał się w jakieś układy ze Służbą Bezpieczeństwa. Wyjął z teczki gotową dekla-

rację współpracy i poprosił o jej podpisanie. Ponoć miał taki obowiązek, żeby kogoś zwerbować. Zapewnił jednocześnie, że to tylko jeden podpis i na tym cała sprawa się skończy. Podpisałem bez wahania — po prostu nie mogłem postąpić inaczej. Zbyt wiele mu zawdzięczaliśmy.

Przerwałem, by się napić.

— I co? Pewnie na tym się nie skończyło? — zapytał Adam, wciąż wpatrując się w ścianę.

— Tak. Za jakiś czas pojawił się znów z prośbą o informacje na temat moich kolegów z uczelni. Byłem wściekły i prawie wyrzuciłem go z domu. Od tamtej pory go nie widziałem.

— I tyle?

— Kiedy dowiedziałem się o liście opublikowanej przez Wildsteina, nawet się ucieszyłem. Niewielu wie, że działałem w opozycji. Pisałem pod pseudonimem do pism opozycyjnych, roznosiłem ulotki, rozwieszałem plakaty, nawet mazałem po murach. Dwa razy mnie zamknęli, raz porządnie pobili. Lista wydawała mi się początkowo wyrazem sprawiedliwości dziejowej. Do czasu...

— Do czasu, gdy znalazłeś na niej nazwisko „Witold Uchmann”?

Nie musiałem odpowiadać. Obaj wiedzieliśmy, co było dalej. W redakcji zaczęli nazywać mnie „ucholem”. W rezultacie wyładowałem w dziale brukowych newsów.

— Dlaczego nie próbowałeś tego wyjaśnić? — odezwał się znów Adam.

— A znasz kogoś, kto by mi uwierzył, gdybym udowadniał, że nie jestem wielbłądem?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Rozmowa przestała się kleić i niedługo potem wyszliśmy z „Przystani”. Adam pojechał taksówką, ja zaś postanowiłem zrobić sobie dłuższy spacer. Kuśtykałem wśród niemal wiosennej, marcowej nocy i jednego byłem pewien: ta rozmowa była mi bardzo potrzebna.

3.

Kiedy następnego dnia pojawiłem się w biurze, nastrój lekkości poprzedniego wieczoru prysł jak bańka mydlana.

Zaraz po wejściu do pokoju spostrzegłem, że coś jest nie tak. Adam ledwie odpowiedział na moje „cześć” i bez słowa wrócił do pracy przy komputerze. Początkowo zrzuciłem to na karb dręczącego go kaca, ale gdy około dziesiątej nic się nie zmieniło, zacząłem żałować, że opowiedziałem mu o epizodzie sprzed lat. Nic już nie mogłem poradzić. Miałem jedynie nadzieję, że gdy wrócę z Rostocza, sytuacja się poprawi i znów będzie tak, jak dawniej.

Przekonanie szefa do mojej wyprawy na południowo-wschodnie krańce Polski nie było tak łatwe, jak przewidywałem. Początkowo w ogóle nie chciał słyszeć o wyjeździe, jednak po jakimś czasie moja perswazja dotarła do jego zakutego łba i zaczął się wahać. Wtedy wyjąłem z rękawa asa — otrzymany dzień wcześniej mail, który dość mocno podrasowałem, żeby sprawa rysowała się bardziej tajemniczo. W rybach oczach Sadonia, chyba po raz pierwszy w życiu, dojrzałem iskierkę zainteresowania.

— Dobrze, Uchmann — powiedział po kilkunastu sekundach teatralnego milczenia. — Masz na przygotowanie tego materiału trzy dni. Spotkaj się z facetem, powypytaj w okolicy... Zresztą, chyba nie muszę cię instruować?

„Nie daj Boże” — pomyślałem.

— Musisz tylko wiedzieć jedno — ciągnął — jak sprawa okaże się niewypałem, to koszty potrączę ci z premii.

— Dobra, szefie, ryzyko biorę na siebie. Mogę jechać już jutro?

Nie brałem pod uwagę, że z materiału może nic nie wyjść. Facet od maila wyglądał na nieźle nawiedzzonego, a ja już dobrze wiedziałem, jak rozmawiać z takimi typkami. Niemniej jednak, nawet gdyby z tego wszystkiego wyszła total-

na kłapa, to byłem pewien, że parę dni poza Warszawą dobrze mi zrobi. Nawet za cenę paruset złotych.

Wróciłem do pokoju i powiedziałem:

— No, stary, Sadoń kupił temat i wyjeżdżam już jutro.

Mój entuzjazm nie zrobił na Adamie specjalnego wrażenia.

— Musimy pogadać zaraz po robocie — powiedział bez cienia uśmiechu i wyszedł z pokoju.

Aż do końca pracy nie zamieniliśmy ze sobą nawet jednego słowa. Po naszym popołudniowym spotkaniu nie spodziewałem się więc niczego miłego.

*

Było po siedemnastej, gdy zasiedliśmy w pobliskim bistro. Zanim zamówiliśmy cokolwiek, powiedziałem:

— Nie sądziłem, że nasza rozmowa robi na tobie aż takie wrażenie.

— Zawsze uważałem, że jesteś w porządku — odparł Adam. — A dziś jestem już tego pewien. Tym bardziej musisz posłuchać, co mam do powiedzenia.

— Słucham więc.

— Najpierw zamówmy coś do picia.

Po chwili, gdy przede mną stała szklanka soku pomarańczowego, a przed Adamem filiżanka kawy, usłyszałem coś, co wprawiło mnie w osłupienie.

— Nie powinienes tam jechać.

Na początku nie wiedziałem, o co chodzi, chwilę potem miałem wrażenie, że się przesłyszałem. Gdy Adam powtórzył to raz jeszcze, popatrzyłem na niego uważnie.

— Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego?

— To nie jest takie proste. Daj mi jeszcze chwilę... Od rana zastanawiam się, jak ci to powiedzieć, żebyś nie wziął mnie za kretyna.

Siedziałem więc w milczeniu, ciesząc się, że moje domysły co do przyczyn dziwnego zachowania Nawrota okazały się kompletnie nietrafione.